

Szacunek spod kapalusza

A kiedy opadły już tumany kurzu, okropna cisza zbudziła Jezuchrysta zwanego Ważką. Tak mu coś w uszach huczało, a między nimi trzepotało, że aż odkasznął i wrócił do niego Duszczyka-Mysł. Pamięć ludzka różnymi ścieżkami chadza i człowiek czasem wspomnieć może dzień cały sprzed dziesięciu lat, a poprzedniej nocy za cholere nie może sobie przedstawić. Tak samo i Ważka skroń tylko pocierał, próbując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed kilku godzin. „Co to ta tam było?” – zapytał nie wiadomo kogo. A były tam szable jakies, świsty, szasty-prasty jakies, Bóg wie co. Istny sen wariata.

Ot, maszerowali sobie jak gdyby nigdy nic po stepach skąpanych w słońcu, aż tu z nagłą coś przeleciało i ziemia się zatrzęsała. Grad kul posypał się znikąd, czyniąc większą panikę niż spustoszenie. Zaraz jednak zadudniły kopyta, a z wraźych gardel rozległ się dziki wrzask.

Rezat' Lacha, b'atku!

Dawaj! Wpieriod!

Ha!ta, ha!ta!

Szatańska husaria w kubańskich czapach i zabłoconych onucach, zastępy półanal-fabetów, wyznawców wolnego człowieka i zbawców proletariatu. Hufce czerwonych diabłów spod sztandaru ciemnej gwiazdy. Pianę toczyli z pyska, spod kopyt ich piekielnych rumaków pryskały iskry, a gromy waliły z jasnego nieba.

Przynajmniej tak to sobie Ważka przypominał.

Orda radziecka ruszyła do ataku, a stepowe słońce błyskało w ich szablach. Ułani chwycili za broń i rozpaczliwie rzucili się do boju, a piechociarze do ucieczki (równie rozpaczliwie). Ktoś tam strzelił, ktoś tam oberwał, ktoś rozwarł ramiona, krzycząc: „Bracia, Moskale!”. A oni mu te ręce na komunizm wyciągnięte odrąbali.

Zderzyły się konnice, ciało o ciało, szabla o szablę, pysk o pysk. Pospadały rogałyki i kubanki. Trysnęła pierwsza krew, pierwszy jęk wydobył się z młodzieńczych ust. Tak to się rozpoczęła śmiertelna robota. Wszystko wzbilo się w powietrze: kule, konie, kurz i kończyny bezpieczeństwa. I zapanował chaos, a świat wrócił do swych źródeł.

– Ładuj, ładuj – krzyknął Rosencrantz, ale Guildenstern rzucił pociski i odważnie ruszył na wroga, wymachując białą chustą, którą trzymał specjalnie na tę okazję.

– Nie bijta mnie! – wrzeszczał i gnał jak sokół prosto pod kozacką szablę.

– Wracaj, debilu! – Rosencrantz wydał rozkaz, po czym chwycił łufę moździerza, którą trzymał specjalnie na tę okazję, i rymsnął dezterera, a zdrowo.

Tymczasem Jezuchryst zwany Ważką stał tylko i patrzył bezradnie na zamęt, który rozgrywał się wokół niego. Podstawę moździerza, którą trzymał specjalnie na tę okazję, rozstawił jak na szkoleniu, ale drapał się w głowę, bo nie było ani czego ładować,

ani w co. Czekał więc na jakiś rozkaz, ale zewsząd leciały tylko nieprzepisowe przekleń-
stwa, jęki i złorzeczenia.

– Ważka, pomóż! – krzyknął Rosencrantz, ciągnąc nieprzytomnego Guildensterna.

– Leć po łufę, barani łbie!

Wreszcie jakaś sensowna komenda, choć do jej drugiej części Ważka miał poważne
zastrzeżenia. W regulaminie francuskim zwracano się raczej po stopniu, ale przyszło mu
na myśl, że może to być jakaś stara szkoła niemiecka. Czort wie! Nie mógł się nad tym
głębiej zastanowić, ponieważ wszystko wokół gnało niestychanie. Piach omiół Ważkę
nieprzeniknionym murem. Chłopak zasłonił oczy, usta i ruszył przed siebie, potykając się
co i rusz. O co? Nawet nie spojrzął. Wszystkie emocje upchnął w żołądku, gdzie soki
trawienne rozłożyły je z naleciałości, aż pozostała czysta esencja, strach, który ograniczył
myślenie do „leć po łufę!”. Jakby od tego całe życie zależało.

Zresztą, może i zależało.

Pędził Jezuchryst i ledwo nadązał z oddechem, kiedy to z tumanów kurzu i dymu wy-
toniła się jakaś ciemna sylweta. Przy pierwszym oczu zmruczeniu dało się dostrzec jedynie
nogi bose, żydowski chałat i ręce pokrwawione. Przy drugim oczu zmruczeniu zauważył
Ważka, że ręce te na strzelbie z bagnietem spoczywały, a tuż nad nią zęby szczerbate
się śmiały. Przy trzecim oczu zmruczeniu nad zębami zarysowały się wąsy przykurzone
i motocyklowe gogle. Dopiero przy czwartym z pyłu wynurzyła się komsomołka i Ważka
przystanął zdyszany. W jego kierunku obróciła się lufa proletariackiej zemsty. Niewiele
się namyślając, wykorzystał trik, który obmyślił sobie podczas marszu, a który trzymał
właśnie na tę okazję. Padł trupem. A raczej ułożył się ostrożnie, bo też i nie chciał padać
byle gdzie i byle jak. „Trupa nikt nie zabije” – rozumował, i słusznie rozumował, bo kra-
snoarmijec uśmiechnął się jedynie z politowaniem, wytarł nos w rękaw i pobiegł dalej.
A Ważka leżał bez życia i – jak to bywa z trupami – odeszły mu gazy.

Ale pamięć ludzka różnymi drogami chadza, więc kto wie, czy mu się to po prostu
wszystko nie przyśniło. Mógł być pewien jedynie tego, że głowa pękła mu, jakby cała
Konarmia Budionnego wytarta w nią kopyta. Powoli wracała do niego Duszczyka-Życie.
Otworzył oczy. Poczuł, jak coś ugniata mu klatkę piersiową. Zebrało mu się na krzyk,
bo przyszło mu na myśl, że to Południca, która go raz w dzieciństwie w szczerym polu
ucapiła, ale pomiarkował się zaraz, bo przecież w okolicy żadna pszenica nie rosta.
Uniósł się nieco i kłoda jakaś zwała mu się na kolana. „A, to trup jeno” – pomyślał
i zdjął z siebie zwłoki nieruchawe. „Młode jeszcze, a już martwe” – westchnął. Ważka
przyjrzał się z bliska śmierci, w oczy jej zajrzał. Jego pamięć wzięła go za rękę i po-
prowadziła do Lip Dziadowskich – krainy dzieciństwa, bo przecież i tam trupa widział
na jarmarku. Przywieźli go Cyganie i pokazywali za trzy grosze. A nie lada było to ciało,
bo sam Jakub Szela w nim za życia przemieszkiwał i polską szlachtę nim rąbał, siekał
i po drzewach wieszał. I kiedy już go szlag trafił, a diabli wzięli i ponieśli do Piekła, by tam
gębę otwartą Lucypera trzymał, jego truchło materialne wypłuła ziemia. Cyganie go zna-
leźli przy drodze i powieźli do doktora, bo też i wyglądał jak żywy. Rumiany był całkiem,
ciało miał pulchne, a skórę na dłoniach zupełnie świeżą. Słowem, zakonserwowany

był słicznie jak niemowlę. Łapiduch ostukał go młotkiem, zajrzał w oczy, potwierdził zgon i oddał ciało Cyganom. Od tej pory Szela straszyl po jarmarkach, odpustach i lunaparach, a wszystkich zdejmował podziw, bo też ta ziemia mądra, że takiego zbója wypłuta i zachowała dla potomnych.

Jak wówczas, tak i teraz Ważka patrzył z oczami w słup. Trupek, który spadł mu z serca, nie był ani pulchny, ani rumiany. Brudny jakiś, cuchnący, a krew na nim jeszcze świeża. Spozierał otchłanią ziejącą z dziury w czole. Tak się zapatrzył Ważka w tę śmiertelną wyrwę, że już, już myślami wchodził do środka, kiedy ktoś szarpnął go za ramię.

– Zmartwychwstawaj, bohaterze.

Rosencrantz w podartym mundurze nachylał się nad nim i mrugał orlimi oczkami, drapiąc się przy tym po krótko ostrzyżonych włosach.

– Idziemy.

– Dokąd? – Pamięć Ważki błąkała się jeszcze po wertepach przeszłości.

– Znaleźć tego pacana.

Jezuchryst wstał, otrzepał się z pyłu i rozejrzał dokoła. Bezimienne truchła wałyły się po pobojuwisku, tworząc rozedrgane, konwulsyjne pagórki. Gdzie nie stąpniesz, tam coś leży, człowiek deptać musiał po człowieku. Jakby sam Kostuszy przetoczył się po stepach, kosząc wszystko na swej drodze. Dym unosił się jeszcze nad ukraińskim czarnoziemem przesiąkłym świeżą krwią. Swąd śmierci drażnił nozdrza. Łza się Ważce w oku zakręciła od tej bezwzględności, od tego wszechogarniającego braku litości. I tylko anieli chodzili łaskawie, przewalali cielska w poszukiwaniu tych polskich, co by je ponieść na Jasną Górę i złożyć u stóp Królowej Anielskiej. Nie wiadomo, kto miał się upomnieć o trupy sowieckie. „Widma komunizmu może?” – pomyślał Ważka, ale żadnego nie znalazł.

Te defum latdamus. Te dominum konfiturum.

Zanucił ponuro.

– A tobie co? – zapytał Rosencrantz, zaglądając pod końskie truchło.

– A śpiwam.

– Co niby?

– A piosenkę. Sienkiewicz napisał. U niego po każdej zwycięskiej bitwie szlachta śpiewała... *Te defum latdamuus...*

Rosencrantz otrzepał dłonie i spojrział na Ważkę nasrożony.

– To ma być „zwycięska bitwa”?

Ważka wzruszył ramionami.

– Ociec czytał...

– Nie oddaliśmy ani jednego strzału! Jednego cholernego strzału, rozumiesz? Przez całą wojnę! Nawet do Kijowa wjechaliśmy tramwajem!

Ważka uśmiechnął się, bo jego pamięć znów pofrunęła w dal.

– Fajnu było. Pierwszy raz jechałem tramwajem.

– Zagnali nas na jakieś cholerne pustkowie!

– Bez biletów jechaliśmy.

– A kiedy wreszcie trafiliśmy na oddział wroga...

– Siedziałem przy okni.
– ...nie oddaliśmy nawet jednego strzału, bo ten przygłup postanowił się poddać!
– Ale konim szybcij jednak. – Jezuchryst zawsze miał kłopoty z powrotem do teraż-niejszości.

– Dlatego znajdę tego gnojka i nastawię mu facjatę.

– Chociaż nie wiem, może źli pamiętam.

– Wazka?

– Już wim. To ty siedziałeś przy okni.

– O czym ty gadasz?

– A ty? – Wazka wolat się upewnić.

– Znajdźmy Guildensterna i nakopmy mu do tyłka.

– A po co?

– Już to wytłumaczyłem!

– Myśłami byłem gdzi indziej.

– Po prostu znajdź mnie Guildensterna.

Wazka rozejrzał się po pobojuwisku. Jeden z anielich pomachał do niego i krzyknął:

– Tutej jest!

– Tam jest – potwierdził.

– Co? – zdziwił się Rosencrantz.

– No, tam jest.

– Gdzie?

– Tam, o.

– Kto?

– No, Guildenstern.

– Gdzie?

– No, tam. – Wazka wystawił palec. W miejscu, które wskazywał, poruszyła się kupka trupków.

– Basta – krzyknął Guildenstern, wygrzebując się na powierzchnię. – Ładnie mnie urządzili, nie ma co! Wracam do domu. Basta! Ja się na wojnę nie prosiłem!

A to zabawne było, bo to prawda. Do armii ochotniczej zapisał się wbrew swojej woli. Bracia Wildsteinowie, którzy mieli pewne zastrzeżenia co do tego, że Guildenstern zbrzuchacił im siostrę, spili go do nieprzytomności, obtukli mu głębę ze wszystkich stron, a na koniec zanieśli do punktu werbunkowego.

– Niech przyjdzie, jak wytrzeźwieje – powiedział wojskowy doktor.

– Kiedy on na trzeźwo to nie chce – wytłumaczył Srulek, zgodnie z prawdą zresztą.

– A to w takim razie...

Guildensterna wyniesiono na noszach i wrzucono do pociągu. Obudził się dopiero na stacji w drodze do koszar. Teraz stał pośrodku stepów zasłanych ciałami, trzęsącymi się rękami szukał skrętów i żądał natychmiastowego przeniesienia do głębokiej rezerwy. Chudy i szpakowaty przypominał w istocie stracha na wróble na bitewnym polu...

Kiepskiego zresztą, bo po chwili obsiadły go kruki i wrony. Próbował się od nich opędzić, ale to nie one stanowiły największe zmartwienie Guildensterna.

– Ani jednego strzału! – wrzasnął Rosencrantz gotujący się ze złości. Skoczył na podkomendnego z pięściami. Efekt zaskoczenia trwał krótko, Guildensterna nie trzeba było dwa razy prowokować do bójkii. Zawrzała w nim węgiersko-żydowsko-polska krew. Pięści poszły w ruch z nie mniejszą furią niż wcześniej bolszewickie szable. Obaj artylerzyści przetoczyli się po trupach, z przekleństwem na ustach szarpiąc się za włosy. Ważka przykucnęła, podrapał się po nosie i patrzył na ten dość osobliwy konflikt na pograniczu świata. Urwał trawę i zagrał smutną melodię, a wiatr zaśpiewał do niej:

Sokole jasnyj, brate mij ridnyj,

Ty wysoko litajesz, ty szeroko widzisz.

A Rosencrantz i Guildenstern wtórowali:

– Kurwasz!

– Pierdolony!

Stań obernysia, hłań zadywysia, kotory majesz mnoho,

Ze riwny budesz tom w ktoroho ne majesz niczoho.

Śpiewał dalej wiatr, Rosencrantz i Guildenstern okładali się niemilosiernie, a Ważka dylał na ździebku. Za jego plecami rozległo się prychnięcie.

– Duch w narodzie nie upada.

Ważka odwrócił się i zobaczył kasztankę z rozciętym bokiem. Koń machnął pyskiem, odsonił zęby i przewrócił oczami.

– Psia ich dupa.

A potem wyzionął ducha. Ważka spuścił głowę. „Jest w tym jakiś sens” – pomyślał – „Ociec by to lepiej wytłumaczył. Wziona by mapę i pokazał palcem, gdzie si lubią, a gdzie ni. I że z tego nielubienia jednak jakaś mądrość płynie. I z tego umirania też. Chociaż konia żal”. Westchnął i dmuchnął znowu w ździebło.

Bo toj sprawujet, szczo wsim kierujet sam Boh mołostywe,

Wsi naszymy sprawy na swojej szali ważył sprawiedływe.

Dokończył wiatr swoje śpiewanie. Rosencrantz i Guildenstern tymczasem umęczeni padli na łopatki, dysząc ciężko.

– Zabiję cię – wysapał jeden.

– A ja ci oddam – wykrztusił drugi.

– Sam tu nie zostanę – wtrącił Ważka.

Zamilkli. Słychać było tylko ich oddechy, świst wiatru, szelest oczeretów i wrzask wron, które obsiadały zarówno umarłych, jak i żywych, bo na stępach wszyscy jednakowo są martwi.

– Możesz mi łaskawie wytłumaczyć, co robię w tym miejscu? – zapytał Guildenstern.

– Walczysz o ojczyznę... – powiedział Rosencrantz, jakby chciał przekonać sam siebie.

– Ja? Jestem węgierskim Żydem w polskiej armii, która walczy w samym środku Ukrainy przeciw ruskim Tatarom idącym na Niemcy. Jednym słowem, jestem nikim pośrodku nikąd. Ty mi chcesz powiedzieć, że coś z tego rozumiesz?

– Bóg rozumie.

– Bóg nie istnieje!

– Przecież jesteś Żydem!

– Żydem-ateistą!

– To wbrew naturze! – stwierdził kategorięcznie Rosencrantz.

– Uff! Skoro nie istnieje, bo istnieć nie mogę, wracam na Pragę. Żegnaj. – Guildenstern wstał, uklonił się i ruszył przed siebie.

– Stój, tchórze! – Rosencrantz znów rzucił się do boju i znów potoczyli się po ziemi, i znów pięść, i znów noga, i znów szarpanina, i znów Ważka westchnął. Tak też upłynął im dzień cały. Dopiero gdy zaczęło mrocznieć, odstawiono na bok wszelkie niesnaski i zaczęto myśleć o nadchodzącej nocy. Na stepach w godzinie duchów bywało bardzo tłoczno pośród oczeretów. Husarzy bezgłowi pędzili na swych rumakach, tratując wszysko na swęj drodze, Kościej Nieśmiertelny wychodził na żer, a diabliki tatarskie łapały na orkan nieostrożnych. Jakby tego było mało, po krwawęj potyczce, kiedy wokół walały się stosy trupków niepogrzebanych, można było oczekiwać, że dusze zranione przemieniają się w strzygonie zażarte na ludzką krew.

Rosencrantz, Guildenstern i Ważka przetrząsnęli zmarłych, aby ubrać się ciepło, bo noce stepowe potrafiły odmrozić palce. Wybór mieli godny pozazdrosczenia: onuce, chałaty, płaszczę, rogatywki, uszanki, komsomołki, mundury wszelakie, ba! nawet oficerki gdzieśgdzie udało się zzuć z nóżki nieboszczyka. Nie był to może splendor *de Paris*, raczej akcja charytatywna dla pogorzalców, ale czasem trafia się perełka. Oł, Ważka na ten przykład odnalazł trupka tatarskiego, który miał na sobie czterdzieści zdobycznych koszul i melonik, Rosencrantz trafił na oficera obwieszęnego zegarkami (w tym jednym szwajcarskim z kukułką), a Guildenstern zdart futro z norek, które pewien komsomolec zapewne wcześniej zerwał z jakiejś bogatej Żydówki. Zebrali też karabiny i amunicję, skompletowali części do swojego mózdzierza, a także wygrzebali kilka konserw.

Rozłożyli szare oficerskie płaszczę, nazbierali suchych oczeretów i łuczyna, a potem skrzęsali ognia.

– Jak tylko zaświta, wracam do domu – powiedział Guildenstern, pałaszując krajową konserwę.

– Mowy nie ma. Stanowimy oddział i musimy się trzymać razem – odparł Rosencrantz.

– To może wrócimy razem do jego domu?

– Mowy nie ma. Ruszamy na wschód.

Guildenstern aż się udławił.

– Dokąd?

– Na Moskwę.

– Hoho, patrzaj go. Napoleon. Życie ci niemife? Moskwę mózdzierzem chcesz zdobyć?

– Dołączymy do oddziału.

Guildenstern odłożył puszkę i z pełną powagą spojrział na Rosencrantza.

– Pragnę panu oznajmic, oświadczyć panu i zakomunikować zarazem, że pańska armia uciekła na zachód, do Warszawy.

- To był strategiczny odwrót.
- Hoho, a to wczoraj to była strategiczna masakra. Dziękuję panu bardzo.
- Nigdy nie byłem w Warszawie – oznajmił Ważka.
- Chętnie ci ją pokażę – przyklasnął Guildenstern.
- Żebym ja wam pięści nie pokazał! – pogroził Rosencrantz.
- Już widziałem, nic specjalnego.

Ważka zerkał to na jednego, to na drugiego i myślał sobie tak: „Nu ży jedyn naród na drugi kąsaty, to jeszcze rozumim, ali żeby w jednym narodzi tyła było nielubienia. Abo Pambóg ni do końca wszystko przemiślał, abo mu tyż diabeł wszystko ponamieszał”. Postanowił więc zaprowadzić *pax*, a w sukurs pamięć mu przyszła.

- Sienkiewicza znaci?
 - Jeszcze by nie – obruszył się Rosencrantz.
 - Słyszałem, słyszałem.
 - Wielki polski literat.
 - Słyszałem, że Tatarzyna.
 - Zejdz z Sienkiewicza łaskawie, co? – Zerwał się na równe kopyta Rosencrantz.
- Mnie możecie macać, ile wlezie, ale Sienkiewicza w to nie mieszajcie.
- Tak słyszałem – mruknął pod nosem Guildenstern, bo też i nie miał już ochoty do bitki.
 - Żle słyszałeś. Teraz chodzisz i powtarzasz bzdury.
 - Nu w każdym razi on pisał o tych stepach.
 - Bo tutaj bije serce Najjaśniejszej.
 - Tak daleko od kraju? – zapytał z przekąsem Guildenstern, ale Rosencrantz postanowił go tym razem zignorować.

– Przypomina mi si, kaj to do Dziadyka nas Ociec prowadzał, mni i brata Kazika. Taką to rewerencją go żeśmy otaczali, Dziadyka, nie Kazika, taką estymą, ży mu do pokoju nikt ni włąził, nie przeżegnawszy si na cztery wiatry, z palców ucałowaniem. Kiej tylko podrosłem na tyle, coby rozumić, co si do mni gada, wziął mnie Ociec z Kazikiem i zaprowadził do izby, dzie Dziadyk na skrzyni siedział. Usta miał zawsze rozdziawione, oczy wlipione w powałę, a w rękach kijek, którym grzebał w popiele. Kocykim przykryty tak sobi leżał, u pasa miał szabelkę, a na głowi maciejówkę, którą ta z Powstania se zachował. Bo trza wam wiedzić, ży Dziadyk z zaborcą walczył. I ranny był nieraz: tako to w Sokołowie kostkę skręcił, w walce o kolej petersburską wyrócił si o szynę, na Wołyniu uderzył si w gałąź i rynku wywichnął, bo zaplątał si w bluszcz, pod Krzywosądzem zaciął się szablą, a pod Opatowem skręcił drugą kostkę. Kiej Traugutta pod cytadelą warszawską wieszali, bohatersko zdarł sobi gardło, śpiwając z tłumem całym *Świnty Boży*. Taki to szlak bojowy przeszedł, aż wrócił do Lip rodzinnych z babą, którą na tem szlaku był zbruchacił przy wydatnej pomocy kolegów.

Słuchacze Ważki poruszyli się niespokojnie, jak gdyby chcieli o coś zapytać, ale rozmyślili się. Może to i dobrze?

– Tako to nas Ociec zabrał do tego Dziadyka. Weszliśmy po cichu, na palcach. Jeno te grzebanie w popiele kijaszkiem było słychać. A Ociec szepnął, co byśmy, skarania boskie, kapalusze zdjęli i w rynku trzymali. Zapytałem go, ży po co, a on, coby szacunyk pokazać. Zdjęłem winc kapalusz, brat tyż i czubek głowy pomacał. Ociec: „Co si tak drapiesz?” – pyta, a Kazik mu na to, ży szacunku szuka, co pod czapkiem przemieszkiwa. Jak go Ociec huknął w łeb, to jaż si zdumiał, a ja posmutniałem, bo po takim czymś to mu ten szacunyk na pewno spod kapalusza wypadł i szukaj go tera. Co go zresztą później szukał nadaremno, bo jak przepadł, tak go ni znalazł. I takeśmy siadali wokół Dziadyka, a Ociec czytał Sienkiewicza. Stary wtedy przestawał grzebać w popiele i słuchał. Bo tyż i cuda taki tam szły z tych kartek. O tych stepach własn, to pamiętam, jak Skrzetuski Chmielnickiemu dupy uratował, bo go te Tatory napadły.

– Nie Tatory, tylko Polacy poprzebierani, bo na orkan Zenobiego chcieli chwycić, bo list gończy, bo się tam pokłócili. Pomieszaleś.

– To ni byli Tatory?

– Nie. To byli Polacy przebrani za Tatarów.

– Patrz, a Sienkiewicz miał odwrotnie.

– Nie mieszaj w to Sienkiewicza! – Rosencrantz nie posiadał się z oburzenia.

– A ja zawsze myślałem, ży to Tatory byli. To Skrzetuski Polaków posiekał? Szkoda. Tragedia, tak swoich ni rozeznać i pobić. Ale dzisiaj to już nic nie wiadomo. Wszystko si powymieszało. W Lipach żeśmy zawsze wiedzieli, który Lipiok, a któren z Kopydłowa gnojek jakiś. Oj, żeśmy nie lubili Kopydłowiaków.

– No, a dzisiaj to wróg jest wszędzie – rzekł ponuro Rosencrantz.

– Jak ktoś szabelką macha, to wszędzie wroga szuka.

– Co ty tam wiesz! Są rzeczy, których trza bronić.

– Owszem, na przykład swój własny tyłek. To wystarczająco duże zmartwienie.

– Typowe myślenie tchórze!

– O nie pszepana, jestem tchórzem, ale ideowym.

– No a najbardzij – wtrzącił Ważka – najbardzij to mi si podobał ten moment, pa-mintacie?

Pamięć różnymi drogami chadza, ale Ważka nie wskazał jeszcze żadnego kierunku, więc ani Rosencrantz, ani Guildenstern nie wiedzieli, dokąd się puścić w pogoń za przeszłością.

– Który? – zapytali razem.

– No ten, jak Longinus trzy tatarski łby za jednym zamachim ściął... To były tatarski łby czy nasze?

– Tatarskie, tatarskie.

– No to całe szczynście. Jakby pan Longinus Polaków ściął niechcący, to by dopi-ro była draka... Ot, ludzka dola, muszę w krzaki – powiedział Ważka i podniósł się z płaszcza. Mrok już zapadł zupełny, zaczynało też cuchnąć trupem. Rano trzeba będzie ruszyć, czy na Moskwę, czy na Warszawę, wszystko jedno – byleby jak najdalej od tego cmentarzyska. Trzech ludzi nie starczy, by pochować wszystkie ciała. Roboty byłoby po...

Ważka odszedł kawałek, ale nie za daleko. Wolał nie tracić ogniska z oczu. Ogniska, które zaczynało już dogasać, a towarzysze broni zasypiać. Wyciągnął co trzeba, złożył usta w dzióbek i już chciał zagwizdać Marsz Dąbrowski, kiedy to usłyszał gdzieś z oddali: „Hała, hała!”. Jezuchryste, jak z Sienkiewicza. Step milczał, uwydatniając jedynie złowrózobne „hała, hała”. Ważka puścił czego nie należy i przeżegnał się. „W imię Ołca i Syna jego... Tatory...”. Rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu Źródła dźwięków. Pośród oczeretów na wzgórzu dojrzał niewielkie światółko ogniska. Trzy postacie odprawiały przy nim dzikie tańce. Ważka natychmiast zawarł rozporek i wrócił pędem do swoich.

– Trochó ci zeszło... – zaczął Rosencrantz.

Ważka nie odpowiedział, tylko chwycił za płaszcz i rzucił się na pónące oczerety.

– Co jest? – spytał Guildenstern.

– Strzygonie.

– Że co?

Ważka przystawił palec do ust i tylko dał znać, żeby iść za nim. Guildenstern przetłknął sline i naciągnął futro z norek, bo choć jeszcze mrozu nie było nocnego, to nagle przesył go trupi ziób. Chwycili mocniej karabiny. Rosencrantz wyciągnął francuską lornetkę i skierował szkółka w kierunku dalekiego światła.

Dostrzegł trzech męczyzn skaczących wokół ogniska i raczących się alkoholem. Gęby ich były niewymyte, nieogolone, ale też i który głupi oczekuje higieny pośrodu stepów. Rosencrantz wziął głęboki oddech, przesunął nieco lornetkę w bok... I zobaczył jego przerażoną twarz. Klęczał zapłakany na trawie i trząsł się cały. Odmawiał jakieś modlitwy, które wchodziły mu w nozdra i wychodziły uszami, kierując się do bogów na wschód i zachód jednakowo. A tamci tańczyli w zdobycznych płaszczach, śpiewali pieśni w obcym języku.

– A niech mnie...

– Co? – spytał Guildenstern.

– Bolszewicy, mają jeńca... czekaj!

Trzech łotrów podeszło do klęczącego. Jeden z nich wylał na niego gorzałkę i wyciągnął nóż. Powiedział coś na ucho więźniowi, a potem przystawił ostrze do ucha.

– Boże... Za...

...Zanim zdążył zareagować. Ucho poszło pod nóż. W stepowej ciszy rozległo się nagle dzikie „hała! hała!” i nieludzki wrzask. Rosencrantz odłożył lornetkę.

– Bestie...

– Ale co...?

– Obcięli mu ucho!

– Ciii – uciszył go Ważka.

– Obcięli mu ucho – szepnął Rosencrantz. – Musimy coś zrobić, bo go zabiją. Ważka, ty masz najlepsze oko, żeby pomścić ucho.

Ważka nie bardzo rozumiał, chociaż rzeczywiście oko miał sokole. W koszarach udało mu się wyławiać dziesiątki, a to wszystko dzięki naukom Ołca... Pamięć powędrowała w te zakamarki, w których to Ważka strzelać się uczył po lesie, ale strząsnął szybko wspomnienie. Po co do tego wracać?

– Wojna bydzie! – Pamięć sama wróciła, gdzie chciała, nie pytając Ważki o zgodę.
– Wojna bydzie, sam ksiądz Pyrka to potwierdził. Un z Pambogiem ma układy, a Pambóg w świeci obyty, to wie, na co si zanosi.

– No dobrze, Ociec, ale co to ma do nas? – zapytał Kazik.

– A to, gałganie, że was strzelać nauczę.

Chwyć więc obu synów za rękę, powiódł do składziku, z którego fuzję wyciągnął tryumfalnie na światło dzienne.

– Chodźta! – A zapał u niego większy był niżli u jego synalków, którzy tylko ramionami wzruszali, starając się dotrzymać Oćcu kroku. Tak to sobie doszli do lasu. Przeżegnali się przed wejściem w gęstwiny, przedarli się przez zarośla, a Ociec śpiewał sobi tak:

*Na wojence ładnie, kto Boga uprosi,
żołnierzy strzelają, żołnierzy strzelają,
Pambóg kule nosi.*

Aż dotarli na porośniętą muchomorami Czarcią Polanę. Nazywano ją tak ze względu na trawę suchą, która tu rosła całym rokiem. Zabobon głosi, że w tym miejscu odbywały się szabaty, podczas których dzikie Wiły-Samowity tańczyły w kole, trzepocząc ważkowatymi skrzydłami. Ich rude włosy falowały tak, że Lipiaki przysiąc by mogli, że to pożar jakiś. Pod stopami tych niebezpiecznych stworzy wyrastały muchomory, które to stara Szeptucha zbierała do koszyka i miała na proszek. Ważka chciał raz urwać grzyba, ale wiedźma pogroziła mu tylko palcem i wycodziła przez dziurawe zęby:

– Nie tykaj ty mechomorów. Mechomor nietykaty. Raz dotkniesz, a zara si tańcem strujesz i nogi ci si poplączą. A kiedy powrócą Wiły, razem z tobą pójdą w pląs i tak ci wymęcą, że krokim tanecznym nad rzekę pódziesz i się potopisz, by zakończyć ciągły ruch.

– A ty, Szeptucho? Możesz zrywać mechomory? Nie strujesz si tańcem?

– Za stara jestem na tańce.

Na tej właśnie Czarciej Polanie Ociec, Kazik i Ważka stali ze strzelbą i oganiali się od komarów. Synalki patrzyły na broń, jednemu ślinka ciekła, drugiemu gil. A stary mówił, jak to się odbezpiecza, naboje ładuje, jak to się do policzka przystawia, jak to się za spust pociąga i w cel utrafia.

– Tera mni słuchajcie! Pójda w las, a wy mnie tu ze strzelbą stać i strzelać maci, kiedy wypłoszę zwierzynę. Jasne?

– Jasne – potwierdzili chłopcy.

– Ja pirwej strzelam! – krzyknął Kazik.

– Ty poczekaj. Najpirw on.

– Jestem starszy.

– Ale głupszy.

Ociec wręczył Ważce broń i położył mu dłoń na ramieniu.

– Waruj jeno i patrzaj, czy kajsi zwierz z lasa ni wyskoczy. A potem cel, pal. Kaj na wojni.

Zostawił ich i zniknął w gęstwinie. Ważka ścisnął mocniej fuzję, przyłożył, kaj Ociec kazał, do piersi i patrzył w zarośla. W żołądku zaczęło mu burczeć, nogi zmiękły,

bo też czuł, jakby to była najważniejsza misja w jego życiu, jakby od niego całe boskie istnienie zależało. A przy tym tak moc w niego wstąpiła, dreszczykiem przebiegła od dłoni po szyję i z powrotem. Takie swędzenie jakies miłe, że przyszło mu zdecydować o czyjej śmierci. Zastanawiał się tylko, czy będzie gotów, gdy nadejdzie pora. Czy za spust pociągnie i pośle nieodwołalny boski wyrok w kierunku ofiary? Czy znajdzie w sobie...

– Daj mnie to! – krzyknął Kazik.

– Ale Ociec...

– Oćca nie ma. Dawaj.

Ważka wycelował w brata.

– Co ty, kapuściany głąbi? We mni chcesz strzelać? – Wyrwał mu fuzję i przyjrzał się jej z błyskiem w oku. – Ja pierwszy powinienem. Starszeństwu ma swoji prawa. Si jeszcze postrzelisz i bydzie.

– Poradzę sobi.

– Za młody jesteś, Jezuchłystku, żeby sobi radzić.

– A ty za stary!

– Ja jeszcze ni Dziadyk, żeby mnie nos wycierać. Spokojna głowa – mówiąc to, wymierzył w gęstwiny. – A tera cichaj i waruj. Kaj na wojni.

Ważka przywał głowę na kłódkę i wytrzeszczył oczy. Liście szumiały, jak je Pan Bóg stworzył, ptaszki gdzieniegdzie odezwały się trelem, ale mimo to dreszcz jakiś przejmował, bo z leśnych kniei ziała tajemnica. Nieprzeniknione chaszczki skrywały Bóg wie co, a może nawet i takie co, o czym Bóg pojęcia nie ma. Piski jakies, kwiki dobywały się zza krzaków i Ważka drżał na całym cieple, bo nie wiedział, kiedy co wyskoczy, i choć brat fuzję trzymał w ręku, to jednak strach.

Wtem z gęstwy, jak z chmur, wypadł zwierz na kształt gromu. Z wrzaskiem wielkim popędził w stronę chłopców. Ptaki przerażone wzbiły się w powietrze, a Leśne Działki zdjęły muchomorowe kapelusze i puciekwały, gdzie nic nie rośnie. Srogie bydle z matecznika wyskoczyło, kosmate i rogate. Ziemia dudniła mu pod racicami, ogonem zmiatał liście z drzew. Taki to się tumult wzniosł, że ptaki zemdlone ze strachu pospadały z gałęzi jak przegniłe jabłka. Fut! fut! fut! fut! wtórowały do odgłosu potężnych kończyn dud! dud! dud! A ciekła mu piana z pyska, jęzor wywiesił niczym Nieboży Bicz, którym to Boruta smaga wiedźmy na lubieżnych sabatach, a trzaskał nim, chlastał, ciął powietrze, że aż rzeczywistość rozdzierała się na kawałki, odślaniając Próżnię, co za nią się kryje.

Jezuchrystek rozdziawił usta, a z nosa mu pocięło z tego strachu. Palcem nie mógł ruszyć, nawet palcem.

– Bier, gówniarzu.

Kazik wcisnął mu w rękę fuzję, a w oczy spojrzął głęboko tak, że Dziadyczek odmówił mu nie śmiać. Posłuszny jak ten Janek ministrantek, co księdzu Pyrcie (zwanym Kartoflem, nie wiedzieć czemu) dzwonekami dzwoni, a i różnie inaczej też posługuje, chwycił za broń, wymierzył prosto w ślepie leśnego stworza. Niewiele myśląc, palcem poruszył. Ale nie byle jak poruszył, tylko tak, że poszedł ogień z lufy. Świat na chwilę zatkał uszy od tego huk, Jezuchryst pofrunął do tyłu, a kiedy tak sobie leciał, to patrzył w niebo,

Jezuchryst pana Wołodyjowskiego, co krótkimi nóżkami uderzał końskie boki, a rączkami dziecięcymi wymachiwał szabelką. Wąsy mu się odklejały, ale i tak był groźny z tą swoją chłopięcą zajadłością. Obok niego Skrzetuski z Heleną na rączkach, całuskami ją obdarowywał hojnie, a ona tak się chichotała anielsko, niewinna jak Zosieńka soplicowska, niepokalana taka, że to aż głupio obłąpić. A za nimi pan Zagłoba pędził piechotą i portki podciągał. Goła czaszka z pękniętego czoła mu wystawała, a on się drapał po niej i popijał z kubtaka. A za nimi wszystkimi Matka Boska złotym rydwanem nadciągała i wszystkim błogosławiła, ot, strzelając od czasu do czasu na zachętę w powietrze. Ale to nie wszyscy, bo i Jagiełło, i Sobieski, i Jagienka, i Konrad, i Jadwiga, i Wallenrod, i Traugutt, i Wysocki, i Dąbrowski, i święty Jerzy, i syrenka warszawska, i Dratewka, i wszyscy, wszyscy, wszyscy... Cała polska historia w tym szalonym pędzie po niebie się przetoczyła, a wszyscy palcem na Jezuchrysta wskazywali. Na takie skinienie nikt nie może pozostać obojętny. Takie skinienie zobowiązuje. Jezuchryst aż wstrzymał oddech, bo go tymi palcami dotknięto w duszę do żywego. Wywołany z niebytu na powierzchnię historii nie wahał się dłużej. Dwa palce do czoła, potem na spust. Strzał. Oko. Palec na spust. Strzał. Przetadowanie. Oko. Palec na spust. Strzał. Huk jeszcze oddalał się poprzez stopy, kiedy trzy trupki padały na ziemię, jeden po drugim, a dziki tatarski taniec urwał się w pół taktu. Ucichęło „hałta! hałta!”.

Jezuchryst odstawił rozgrzaną broń.

Rosencrantz odrzucił lornetkę i z radosnym okrzykiem podbiegł do Ważki, żeby go ucałować.

– Bohaterze! Bohaterze! Trzy łby za jednym razem! A niech cię!

– Gratuluję – rzekł ponuro Guildenstern.

A Jezuchryst stał tylko i tymi palcami zabójczymi przeżegnał się skromnie. Potem pobiegli wszyscy razem do trupków i jeńca, który leżał plackiem i trząsł się z przerażenia. A Rosencrantz najprędszy był, bo też i nie mógł uwierzyć, że oto pierwszy czyn bohaterski popełniony został na tej zapomnianej przez Boga stepowej ziemi. Uświęcone zostały te nieużytki czynem! Czynnem!

– Szybciej! Szybciej! – pogańczał resztę jak wygłodniały pastuch. Podbiegł do martwych Tatarów. Jednemu jeszcze rączka tańczyła w śmiertelnym oberku. Trzy zakazane gęby skośne. Nie przyjrzał się im dokładniej, tylko splunął i skierował się w stronę jeńca, który z krwawiącym uchem sapał i jęczał.

Ważka usiadł przy dogasającym ognisku i dorzucił nieco suchej trawy. Patrzył niespokojnie to na broń, to na palce swoje i zastanawiał się, które z nich bardziej zabójcze. Guildenstern przysiadł przy zwłokach i zaczął przeszukiwać kieszenie zabrudzonych mundurów w nadziei, że gdzieś tam kryje się jakiś papieros.

– Dałbym wszystko za jednego... – zamilkł. Ręka zastygła. Powiódł spojrzeniem po jednym, po drugim i trzecim.

– Jesteś wolny – rozległ się głos Rosencrantza, który z otwartymi ramionami zbliżał się do jeńca.

Guildenstern podniósł zabłoconą czapkę. Przyjrzał się jej uważnie.

– Padnij, debil!

Wszystko stało się błyskawicznie, ale pozwolę sobie w tym miejscu nieco zwolnić. Otóż jeniec obrócił się na plecy. W jego dłoni błysnęła parabelka. Guildenstern zerwał się, puszczając z rąk ułańską rogatywkę. Rzucił się w te pędy. Ważka tylko podniósł brew. Długie, patłkowate ciało Guildensterna wyciągnęło się w powietrzu. Rosencrantz zdążył tylko popuścić w majtki. Huk. Krew. Dwa cielska padły na ziemię. Z czego jedno umierające. Wówczas to jeniec przystawił sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust.

Kolejny śmiertelny huk. Ostatni już.

Ważka skoczył na równe nogi. Guildenstern z krwawą gwiazdą na piersi zęgnął się ze światem. Rosencrantz dopiero teraz rozpoznał, kto kim jest. Kto wróg, kto przyjaciel. Spojrzał na jeńca. W rękę ścisnął budionówkę. Spojrzał na zabłoconych Tatarów... ułanów. I zapłakał.

– Guild! – dopadł do niego Rosencrantz. – Ty pieprzony farciarzu. Zostałeś bohaterem.

– Nie chcę.

– Za późno, gnojku.

– Życie jest jak dziecięca koszulka. – Uśmiechnął się i splunął krwią. – Krótkie i zarsrane.

Z tymi słowami uleciał z niego duch. Jego ciało zeszywniało, a Rosencrantz zaszlochał żałośnie.

Ważka tymczasem patrzył na trzy tatarskie trupki. Jego bohaterstwo przysło nagle jak niepewny sen. Z nich trzech bohaterem został tchórz największy, a po miesiącu wojny na koncie Ważki znalazło się trzech polskich ułanów. Pomyślał sobie, że ktoś sobie z niego bezczelnie zadzwili. I Ociec, i Rosencrantz, i Bóg w niebie, i historia, i palec jego krzywy. Przyglądał mu się badawczo.

– Coś ty najlepszego narobił? Żeś nabroił.

Wyjął kozik i zamachnął się bez zastanowienia. Opuszek osunął się z palca, pocięła krew. Kolejna ofiara tej bezsensownej walki. Kolejna istota skazana na ścięcie.

– Dzisiaj to już nic nie wiadomo. Wszystko si powymieszało – powiedział, wzruszył ramionami i padł trupem.

A raczej ułożył się ostrożnie, bo też i nie chciał padać byle gdzie i byle jak.

Pośród fali łąk szumiących, pośród kwiatów powodzi włożył rannego palca do ust, zamknął oczy. Gdzieś ponad nim słycać było ciągnące żurawie, gdzieś obok motyla kołyszącego się na trawie, gdzieś dalej węża, który śliską piersią dotykał się ziola...

Wszystko by Ważka mógł usłyszeć, gdyby nie to, że pamięć znów go zawołała i poniosła kibitką dokąd chciała. Jak najdalej,

jak najdalej od stepów,

jak najdalej od trzech trupków

milczących oskarżycielskim tonem.